

Han Kang

WEGETARIANKA

Redaktor prowadzący

Anna Chyckowska

Projekt okładki

Janusz Skierkowski / Poczekalnia pomysłów

Korekta

Patrycja Michalska

Marzena Stefańska-Adams

Copyright © Han Kang 2007

Copyright © for the Polish translation by Justyna Najbar-Miller i Choi Jeong In

All rights reserved.

This Polish edition was published by Wydawnictwo Kwiaty Orientu in 2014

**Publikacja została dofinansowana
przez Literature Translation Institute of Korea**

ISBN 978-83-935271-4-4

Wydawnictwo Kwiaty Orientu

ul. Konopnickiej 12/42, 26-110 Skarżysko-Kamienna

Telefon: 41 2524870

E.mail: pytanie@kwiatyorientu.com

Strona internetowa: www.kwiatyorientu.com

Sklep internetowy: www.koreanski-online.pl

Druk i oprawa:

Drukarnia im. A. Półtawskiego

www.drukarnia.kielce.pl

Han Kang

WEGETARIANKA

Z języka koreańskiego przełożyły
Justyna Najbar-Miller i Choi Jeong In

Wegetarianka

Zanim została wegetarianką, nigdy nie pomyślałbym, że jest wyjątkowa. Szczerze mówiąc, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, nie zrobiła na mnie wrażenia. Przeciętny wzrost, włosy średniej długości, żółtawa cera pokryta wypryskami, oczy wąskie niczym szparki i delikatnie wystające kości policzkowe. Ubranie bez charakteru, jakby się bała wyróżnić z tłumu. Kiedy podeszła do stolika, przy którym na nią czekałem, miała na sobie najpospolitsze czarne buty. Jej krok nie był ani szybki, ani wolny; ani energiczny, ani pozbawiony energii.

Zdecydowałem się na małżeństwo, bo mimo braku szczególnego powabu nie miała wyraźnych wad. Nie była oszłamiająca, błyskotliwa czy też wyrafinowana, ale w sumie odpowiadał mi jej niewymagający charakter. Nie musiałem udawać erudyty, by zrobić na niej wrażenie, ani się denerwować, że nie zdążę na czas, gdy się z nią umawiałem. Nie musiałem też wpadać w przygnębienie, porównując się do mężczyzn z katalogów mody. Zupełnie nie zwracała uwagi na mój brzuch, który zaczął mi rosnać, gdy skończyłem dwadzieścia kilka lat. Nie przeszkadzały jej także chude nogi i ramiona, które mimo moich wysiłków pozostawały nieumięśnione, ani niewielki penis, będący źródłem moich ukrytych kompleksów.

Nigdy nie starałem się walczyć o więcej niż o to, na co zasługiwałem. W dzieciństwie wystarczała mi rola podwórkowego przywódcy wśród dzieci, które były ode mnie dwa, trzy lata młodsze. Kiedy dorosłem, zacząłem studia na uniwersytecie, na którym zaoferowano mi niezłe stypendium, a następnie podjąłem pracę w niewielkiej firmie, w której doceniono moje nie aż tak znowu wysokie kwalifikacje i wypłacano mi w miarę przyzwoitą pen-

sję. Tak więc naturalnym wyborem było dla mnie małżeństwo z kobietą wyglądającą najzwyczajniej na świecie. Kobiety piękne i inteligentne, kobiety niezwykle zmysłowe albo pochodzące z bogatych rodzin wprawiały mnie zresztą w zakłopotanie.

Zgodnie z moimi przewidywaniami bez zarzutu wypełniała rolę przeciętnej żony. Codziennie wstawała o szóstej rano, by przygotować mi ryż, zupę i rybę na śniadanie. Wspierała też domowy budżet dzięki dorywczej pracy, którą zresztą zaczęła wykonywać, zanim się pobraliśmy. Pracowała jako asystentka nauczyciela w prywatnej szkole grafiki komputerowej, w której kiedyś sama przez rok się uczyła, a także brała do domu zlecenia polegające na uzupełnianiu tekstem chmurek w komiksach.

Mówiła niewiele. Rzadko mnie o coś prosiła i nie wtrącała się, kiedy wracałem do domu późną nocą. Nie żądała też, byśmy gdzieś razem wychodzili w dni wolne od pracy. Siedziała zamknięta w swoim pokoju, kiedy przez całe popołudnie wylegiwałem się na kanapie, oglądając telewizję. Chyba pracowała albo czytała książkę – jeśli w ogóle miała jakieś hobby, to było to czytanie książek, które już na pierwszy rzut oka wydawały mi się śmiertelnie nudne. A kiedy nadchodziła pora posiłku, otwierała drzwi i w milczeniu zabierała się do przygotowania czegoś do jedzenia. Trudno powiedzieć, by mieszkanie z taką osobą było szczególnie interesujące. Cieszyłem się jednak, że nie jest taka jak żony moich przyjaciół i znajomych z pracy, które dzwoniły do nich kilka razy dziennie i robiły im wyrzuty, prowokując burzliwe małżeńskie kłótnie.

Jeśli musiałbym wymienić jakąś cechę, która odróżniała ją od innych kobiet, byłaby to niechęć do noszenia biustonosza. Kiedyś, jeszcze w okresie naszego krótkiego, beznamiętnego narzeczeństwa, przypadkiem dotknąłem ręką jej pleców – gdy nie wyczułem pod swetrem zapięcia stanika, ogarnęło mnie podniecenie. Być może przez chwilę próbowałem wówczas ujrzeć ją z zupełnie

innej perspektywy, odgadnąć, czy w ten sposób próbuje mi coś zasygnalizować. Ostatecznie doszedłem jednak do wniosku, że nie był to żaden sygnał. Może lenistwo albo zanedbanie? Nie potrafiłem tego zrozumieć. Mówiąc wprost: piersi mojej żony były zbyt mało atrakcyjne, aby mogła chodzić bez stanika. Ze względu na moich znajomych wołałbym wręcz, by nosiła biustonosz z grubymi wkładkami.

Po ślubie zupełnie przestała nosić stanik w domu. Zakładała go czasem, na przykład kiedy wychodziła gdzieś w lecie – inaczej przez koszulkę widać było jej sutki – ale szybko rozpiniała haczyk. Gdy miała na sobie cienkie, jasne koszulki, które nieco opinały jej ciało, z łatwością można było zauważyć, że biustonosz jest rozpięty. Ale ona zupełnie się tym nie przejmowała. Kiedy zwracałem jej na to uwagę, wołała zastąpić stanik kamizelką. Zakładała ją na koszulkę nawet w największy skwar. Tłumaczyła, że biustonosze uciskają jej piersi nie do wytrzymania. Jako mężczyzna nie mogłem sobie tego wyobrazić. Jej nadwrażliwość wydawała mi się jednak podejrzana, szczególnie biorąc pod uwagę, że inne kobiety nie żywiły takiej awersji do noszenia stanika.

Poza tym nie miałem uwag. Wszystko układało się harmonijnie. Nigdy nie łączyła nas wyjątkowa namiętność, więc w naszym związku niewiele się zmieniało, choć od ślubu minęło już pięć lat. Zastanawiałem się tylko, czy nie nadszedł czas, aby usłyszeć w domu gaworzenie dzieci – kwestię powiększenia rodziny odłożyliśmy do momentu przeprowadzki do większego mieszkania, a to udało nam się osiągnąć zeszłej jesieni. Do chwili, kiedy w lutym ubiegłej zimy zobaczyłem, jak moja żona o świcie stoi w kuchni ubrana jedynie w nocną koszulę, nie przyszłoby mi do głowy, że coś w naszym życiu może ulec zmianie.



– Nie możesz spać? – zapytałem.

Miałem właśnie zapalić światło w łazience. Była mniej więcej czwarta nad ranem. Obudziło mnie parcie na pęcherz i pragnienie wywołane przez wino ryżowe, którego pół butelki wypilem poprzedniego dnia podczas kolacji firmowej.

– Przecież o coś cię pytam!

Drżąc z zimna, spojrzałem w jej stronę. Zupełnie przeszła mi senność i odurzenie. Moja żona stała bez ruchu, wzrok miała wbity w lodówkę. Nie mogłem dostrzec wyrazu jej twarzy, bo profil miała zanurzony w mroku, ale coś mnie zaniepokoiło. Jej ciemne, gęste włosy były potargane. Miała na sobie sięgającą do stóp koszulę nocną, której dolna krawędź nieznacznie się podwinęła.

W kuchni panował chłód. Żona zawsze źle znosiła niskie temperatury i zwykle ubierała się ciepło w grube swetry i futrzane kapcie. Jednak wtedy, gdy ją zobaczyłem, już od jakiegoś czasu stała boso, w cienkiej letniej koszuli nocnej. Nie zwróciła uwagi na moje słowa. Zachowywała się tak, jak gdyby w miejscu lodówki znajdował się niewidzialny dla mnie człowiek. Albo duch.

Co jej się stało? Czy właśnie tak zachowują się lunatycy?

Zbliżyłem się do niej. Stała nieruchomo jak kamienny posąg.

– Co się z tobą dzieje?!

Nie przestraszyła się, gdy złapałem ją za ramię. Była świadoma, że wyszedłem z sypialni, że próbowałem ją o coś zapytać i że do niej podszedłem. Zwyczajnie mnie ignorowała. Już wcześniej zdarzało się, że kiedy wracałem do domu późną nocą, nie zwracała na mnie uwagi, pochłonięta oglądaniem seriali telewizyjnych. Ale, na miłość boską, jakiej rozrywki może dostarczyć gapienie się na czterystulitrową lodówkę w ciemnej kuchni o czwartej nad ranem?!

– Kochanie!

Spojrzałem na jej profil rysujący się w ciemności. Jej oczy lśniły dziwnym lodowatym blaskiem; mocno zagryzała usta.

– Miałam sen – oznajmiła dobitnie.

– Sen? O czym ty mówisz?! Zdajesz sobie sprawę, która jest godzina?

Odwróciła się ode mnie i wolnym krokiem udała się do sypialni. Przekraczając próg, wyciągnęła ramię do tyłu i cicho zamknęła za sobą drzwi. Zostałem sam w mrocznej kuchni, patrząc na drzwi, za którymi zniknęła jej biała postać.

Wszedłem do łazienki i zapaliłem światło. Od kilku dni temperatura sięgała dziesięciu stopni poniżej zera. Kilka godzin wcześniej brałem prysznic, więc leżące tam klapki¹ wciąż były mokre i zimne. Czułem samotność tej zimowej pory, która wyzierała z ciemnego otworu wentylacyjnego wydrążonego nad wanną i przenikała przez podłogę, przez ściany pokryte białymi płytkami.

Kiedy wróciłem do sypialni, moja żona w milczeniu leżała zwinęta w kłębek. Przez chwilę czułem się tak, jakbym był zupełnie sam. Gdy jednak wyłożyłem słuch, dobiegł mnie jej cichy oddech. Nie przypominał oddechu śpiącego człowieka. Gdybym wtedy wyciągnął dłoń, mógłbym dotknąć jej ciepłego ciała. Nie mogłem jednak tego zrobić. Nie miałem nawet ochoty się do niej odezwać.



Leżąc opatulony kołdrą, na chwilę straciłem poczucie rzeczywistości. Bezmyślnie wpatrywałem się w zimowe promyki słońca przenikające przez białe zasłony i wpadające do pokoju. Nagle uniosłem głowę i spojrzałem na wiszący na ścianie zegar. Zerwałem się z łóżka i wybiegłem z sypialni, głośno trzaskając drzwiami. Moja żona siedziała obok lodówki.

¹ W niektórych łazienkach w Korei Południowej odpływ prysznica znajduje się bezpośrednio w podłodze, dlatego Koreańczycy noszą w łazience plastikowe klapki.

– Odbiło ci?! Dlaczego mnie nie obudziłaś? Wiesz, która jest teraz... – przerwałem nagle, bo poczułem, że nadepnałem na coś gąbczastego. Nie wierzyłem własnym oczom.

Moja żona klęczała na podłodze wciąż ubrana w koszulę nocną. Jej włosy nadal były potargane. Dookoła niej leżały czarne i białe foliowe worki oraz hermetycznie zamykane plastikowe pojemniki: cieniutko krojone plastry wołowiny, boczek, para ogromnych nóżek cielęcych, zapakowane w folię spożywczą ośmiornice, przyrządzony przez teściową węgorz, związane żółtym sznurkiem suszone ryby, nierozpieczętowane jeszcze opakowanie mrożonych pierożków i wiele innych pakunków, których zawartości nie znałem. Nie było gdzie postawić nogi. Szeleszcząc torbami, wkładała je wszystkie po kolei do ogromnego worka na śmieci.

– Co robisz, do licha?! – wydarłem się, tracąc nad sobą kontrolę.

Całkowicie mnie ignorowała, podobnie jak zeszłej nocy, i wkładała pakunki z mięsem do worka na śmieci. Wołowinę oraz wieprzowinę, poćwiartowanego na kawałki kurczaka, morskiego węgorza wartego przynajmniej dwieście tysięcy wónów.

– Straciłaś rozum? Po co to wszystko wywalasz?

Podbiegłem do niej, rozrzucając na boki leżące na podłodze worki, i chwyciłem ją za rękę. Nie oczekiwałem, że będzie aż tak uparta. Musiałem się porządnie nasiłować, aby pozwoliła mi z powrotem włożyć pakunki z mięsem do lodówki. Tymczasem ona, pocierając lewą dłońią zaczerwienioną prawą dłoń, jak zwykle zwróciła się do mnie spokojnym tonem.

– Miałam sen.

Znowu ta sama historia. Spojrzała mi prosto w oczy. Na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. W tym momencie zadzwonił mój telefon.

– Do diabła! – Zacząłem nerwowo przeszukiwać płaszcz, który ubiegłej nocy rzuciłem na kanapę. W końcu udało mi się znaleźć komórkę w wewnętrznej kieszeni.

– Bardzo przepraszam. W domu wydarzyła się nietypowa sytuacja... Naprawdę bardzo mi przykro. Postaram się przyjechać jak najszybciej. Ależ nie, już zaraz wychodzę. Proszę tylko... Nie, bardzo proszę tego nie robić. Proszę na mnie chwilkę poczekać. Najmocniej przepraszam. Naprawdę nie mam nic na swoje usprawiedliwienie...

Zakończyłem rozmowę i natychmiast pobiegłem do łazienki. Z pośpiechu aż dwa razy zaciąłem się przy goleniu.

– Nie ma wyprasowanej koszuli?

Nie opowiedziała. Rzucając przekleństwami, wygrzebałem w koszu na pranie koszulę, którą wczoraj tam włożyłem. Na szczęście nie była bardzo pognieciona. Niczym apaszkę zarzuciłem na szyję krawat, wciągnąłem na stopy skarpety, szybko przygotowałem portfel i notatnik. Moja żona przez cały czas siedziała w kuchni. Po raz pierwszy od momentu ślubu wychodziłem do pracy bez jej asysty.

– Zwariowała. Zupełnie jej odbiło.

Z trudem założyłem przyciasne buty, które niedawno kupiłem. Wyszedłem na zewnątrz. Gdy zorientowałem się, że winda stoi na ostatnim piętrze budynku, zbiegłem po schodach z trzeciego na parter. Kiedy udało mi się wsiąść do odjeżdżającego już pociągu metra, spojrzałem na moją twarz odbijającą się w ciemnym oknie wagonu. Poprawiłem fryzurę, zawiązałem krawat, wygładziłem wygniecioną koszulę. Zaraz potem przypomniała mi się przerażająco obojętna twarz mojej żony i jej nieprzejednany ton głosu.

„Miałam sen”. Powtórzyła to dwa razy. Nagle, za oknem jadącego pociągu, w mroku tunelu metra, pojawiła się na chwilę jej twarz. Była obca jak twarz nieznanego człowieka. Ponieważ pozostało mi zaledwie trzydzieści minut, by wymyślić sensowne wytłumaczenie mojego spóźnienia oraz przygotować wstępny plan dla klienta, nie miałem już czasu na roztrząsanie przyczyny jej dziwnego